

Mołdawia – biedna, lecz piękna

Jeśli uważacie, że polskie drogi są tragiczne – nie jedźcie na Ukrainę, lecz jeśli już pojedziecie i stwierdzicie, że tamtejsze drogi są beznadziejne, nie wjeżdżajcie do Mołdawii...

Szymon Baron

Fatalne prognozy pogody nad całą zachodnią Europą eliminowały w założeniu od dawną planowany wyjazd w Alpy. Wzięliśmy w ręce mapy, przeanalizowaliśmy kto gdzie był i jedyną białą plamą dla naszej czteroosobowej ekipy w promieniu tysiąca kilometrów od Bielska-Białej, do której dodatkowo nie potrzeba wizy była Mołdawia – w dodatku pogoda miała być w tamtej części naszego kontynentu całkiem niezła.

Z Polski wyjechaliśmy przez przejście w Korczowej. Od razu za ukraińską granicą natknęliśmy się na dziury w drodze i nieoznaczone „hopki”. Przejazd do Lwowa zajął nam więcej czasu, niż zakładaliśmy. Zdaliśmy się na GPS i zamiast obwodnicą, wjechaliśmy do centrum tego miasta. Choć do EURO 2012 pozostało niewiele ponad rok, drogi w dalszym ciągu pokryte są tam nierównym brukiem, ponad który gdzieś wystają na dziesięć centymetrów szyny tramwajowe. Na pewno nie jest odpowiednia nawierzchnia dla samochodów osobowych, chyba, że ich zawieszenie jest sporo podniesione – tak, jak w większości samochodów na wschodzie...



Ojcowie komunizmu w Bielkach

udaliśmy się do bliskiego Chocimia, gdzie oprócz zwiedzenia zamku, mieliśmy okazję popływać u jego stóp w wolno płynących wodach Dniestru.

Wjazd do Mołdawii wiąże się z obowiązkową opłatą w wysokości 50 lei, czyli około 12 zł, co nie jest wygórowaną kwotą. Niestety, niemal od razu po przekroczeniu granicy można odczuć pogorszenie nawierzchni dróg. Z naszych obserwacji wysnuliśmy teorię, że drogi krajowe, oznaczone na mapach kolorem czerwonym są drogami asfaltowymi, z reguły załatanymi, do których stanu nie można się zbytnio przyczepić.



Łuk triumfalny i Cerkiew Narodzenia Pańskiego w Kiszyniowie

W dalszym ciągu zdawaliśmy się na GPS i zamiast w planowanych Czerniowcach, wylądowaliśmy w Kamieńcu Podolskim, co skwapliwie wykorzystaliśmy zwiedzając miejscowy zamek, po czym

Drogi „złote” są asfaltowe, bądź szutrowe, zazwyczaj okraszone wielką ilością dziur, na których asfalt równie szybko pojawia się, co znika... Z kolei drogi zaznaczone kolorem białym...

tutaj można być pewnym tylko dziur, bo droga albo jest, albo jej nie ma...

Pierwszym odwiedzionym przez nas miejscem w Mołdawii były Bielce, drugie co do wielkości miasto tego kraju, nie licząc Tyraspolu, położonego w separatystycznym Naddniestrzu. Miasto to nie jest zbyt duże, a my zdążyliśmy zobaczyć pomnik Stefana III Wielkiego, miejscowy teatr i park, spojrzeć w oczy spoglądającym na nas z pewnego budynku ojcom komunizmu – Marksowi, Engelsowi i Leninowi oraz sfotografować się z ustawionym jako pomnik czołgiem. Warto podkreślić, że znajduje się tu także Dom Polski, którego jednakże nie udało nam się odwiedzić.

Kolejnym punktem miał być Dealul Bălănești (430 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Mołdawii, położony jakby na to nie patrzeć niżej, niż mój dom w Polsce... tym niemniej stanowiący niemałe wyzwanie z uwagi na drogi dojazdowe... Moja biedna, wiekowa Skoda Felicia, której nie pozwoliłem pomknąć na biegu wyższym od „dwójki” jakimś sobie tylko wiadomym sposobem, bez straty zawieszenia, przy prawdopodobnie skrajnym wykorzystaniu amortyzatorów dowiozła nas do miejscowości Milești, z której planowaliśmy „atak szczytowy”... Nie mając pojęcia którą najlepiej iść, natknęliśmy się na Ninę Siergiejewą, mieszkającą w pobliżu wdowę, która obiecała zaprowadzić nas na szczyt, lecz wcześniej zaprosiła na małe co nieco. Mieliśmy okazję próbować miejscowego chleba, białego sera, bryndzy i oczywiście słynnego mołdawskiego wina z winogron. Nie omieszkaliśmy również nieco podszkolić się w języku mołdawskim. Po takiej uczcie, szczyt był już przysłowiową bułką z masłem.

Droga z Milești na Dealul Bălănești wiodła lasem, by tuż przed wierzchołkiem wyjść na pola uprawne. Sam szczyt był mało interesujący – znajduje się na nim antena telewizyjna i nic więcej.

Wracając mieliśmy za to okazję doświadczyć ulewnego deszczu, w którym ucierpiały nasze paszporty oraz wystrzałów rakietowych, którymi miejscowe wojsko prawdopodobnie próbowało od-



Kompleks archeologiczno-krajobrazowy Orchej Stary

straszyć nadciągającą nieuchronnie burzę.

Zadowoleni ze zdobycia najwyższego pagórka w Mołdawii przenieśliśmy się do stolicy – Kiszyniowa. Zaskoczeniem był dla nas niewielki, jak na piątkowe popołudnie, ruch samochodowy. Zobaczyliśmy tutaj budynek parlamentu, łuk triumfalny, Cerkiew Narodzenia Pańskiego z XVIII wieku, bulwar Stefana III Wielkiego wraz z jego pomnikiem oraz miejscowy park, w którym akurat odbywał się koncert organizowany przez Amnesty International.

Kierując się w stronę Orcheja Starego

przejechaliśmy obok słynnych winnic w Craicovej, po czym spędziliśmy nocleg w namiocie, gdzieś w polach kukurydzy... Niestety, tej nocy solidnie lało i nie byliśmy w stanie odkopać się z błota. Po raz kolejny mieliśmy dzięki temu okazję spotkać się z życzliwością miejscowych, a także dowiedzieć się, że w okolicy pełno jest zajęcy, lisów i wilków...

Przepięknie położony w przelomie rzeki Raut kompleks archeologiczno-krajobrazowy Orchej Stary wywarł na nas niesamowite wrażenie. Po zwiedzeniu ekspozycji muzealnej z przedmiotami znalezionymi w tym miejscu,

a datowanymi nawet na IV-III w. p.n.e., udaliśmy się na spacer tropem okolicznych zabytków – zobaczyliśmy starą dzwonnice, położony na wzgórzu monastyr i z powodu gwałtownego oberwania chmury odpuściliśmy obejrzenie jednego z najpiękniejszych zabytków Mołdawii – podziemnego monastyru.

Ostatnią odwiedzoną przez nas miejscowością w tym kraju były położone na granicy z Ukrainą, przy przepięknych meandrach Dniestru, Soroki. Zwiedziliśmy tu „świeczkę” – wieżę wzniesioną jako wotum w 2004 r., zamek, cerkiew, a także niesamowitą dzielnicę cygańską, położoną na górującym nad miastem wzgórzu. Można tu było zobaczyć piękne pałace cygańskie, kościół i cmentarz.

Podczas zwiedzania tej miejscowości okazało się, że nie przekroczyliśmy w niej granicy, bowiem promy, kursujące pomiędzy oboma brzegami są czynne tylko do późnego popołudnia i musimy udać się do odległej o 50 km miejscowości.

Przekraczając granicę mołdawsko-ukraińską i następnie ukraińsko-polską obawialiśmy się, czy nasze przemoczone paszporty nie zostaną zakwestionowane, lecz na szczęście udało nam się bez większych przygód wrócić do kraju.

Podsumowując wyjazd muszę podkreślić niesamowitą gościnność, ale i biedę Mołdawian, których kraj zgodnie z miejscową legendą jest biblijnym rajem... Na pewno ma w sobie coś z raju... Szczerze polecam!

